

RECENZJE
TATA MA KOTA (albo POCZYTAJ MI TATO)
Scena Prapremier InVitro

„No i co ty wiesz o wychowywaniu dzieci...?!”

Anna Rzepa Wertmann

TEATR DLA WAS

02.04.2015

Centralnie ustawiona statua Kobiety (hybryda Dumnej z czołówki filmów Paramount, Matuszki Rosji Moss filmu i wszech – ostatnio – obecnej Matki Polki Eksperymentatorki, obdarzonej jak zwykle Torbą – Worem...). Prosta modułowa piaskownica rodem z pewnego skandynawskiego hipermarketu modelowego, zestawy zabawek do piasku stamtąd tudzież... Powietrze Sali Czarnej przesycone jest oczekiwaniem, strachem, kompleksami – gdzieś tam się jeszcze czają resztki odwagi, których dotąd nie wypłoszył Największy Sąd i Ta, Której Od Dawna Już Nie Ma... Pięciu facetów, pozornie pięć (choć w rzeczywistości na pudy!) historii, oceany walki, determinacji i wątpliwości. Szósty z nich pojawi się pod sam koniec, ale wypowie jedne z najważniejszych fraz na tej scenie... Taka jest rzeczywistość sceniczna najnowszej sztuki Szymona Bogacza „Tata ma kota (albo Poczytaj mi Tato)”, którą „na warsztat” wziął Łukasz Witt - Michałowski, szef i siła reżysersko – sprawcza lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.

Matka Polka Feministka...

Szymon Bogacz zasadniczo opowiada o tym, o czym wszyscy wiedzą, ale nikt otwarcie nie mówi. Legalistycznie debatuje się nad tym od nie wiem jak długiego czasu - nic z tego nie wynika. Sądy wciąż są stronnicze, ojcowie cierpią i walczą o swe prawa i kompromisy; zaś **Dobro Dziecka i Jego Właściwy Rozwój Psycho – Somatyczno – Społeczny** to pusty i bezsensowny frazes służący często jako broń egoistycznych matek i sprytnych jurystów. Tak naprawdę w naszym kraju ludzie, którzy przede wszystkim winni mieć na względzie dzieci, je akurat przy stanowieniu prawa do opieki pomijają zupełnie. W Polsce prawa do opieki nad potomstwem i stanowienia o jego wychowaniu, rozwoju i edukacji uzyskuje 4 procent ojców! Dziecko to nie mebel, część majątku, nieruchomości... Choć są i tacy (i nie jest to wbrew pozorom mała grupa!), która tak właśnie traktuje własne potomstwo – jako koronny argument w walce rozwodowej...! Modna jest idea „Projekt Dziecko”, do którego przygotować się należy 24-18 miesięcy wcześniej. Faceci są niezbędni, choć coraz częściej ich udział zaczyna się od... badań spermatycznych. Chcieliśmy nowoczesności, no to ją mamy: haraczem jest zdrowie psychiczne, możliwości prokreacji, odporność na stres, kłopoty z samooceną... Kto jednak, kiedy i na jakiej podstawie określił, że **tylko i wyłącznie Matka ma monopol na właściwe wychowanie Małego Człowieka**, którego jakby nie było powołali do życia i istnienia **oboje rodzice** (często kosztem wielu prób, trudów oraz starań finansowo – medycznych!)?! W dobie walki o równość, odmieniania słowa „Parytet” przez wszelki możliwe odmiany, przypadki, osoby, okoliczności – toż to jawnie hipokryzją i seksizmem pachnie! Znam kilka rodzin (zmasakrowanych rozwodami długimi, głośnymi i spektakularnymi!), w których naprawdę lepiej byłoby dla dzieci, gdyby zostały, mieszkały i wychowywały się ze swoimi ojcami – Sąd Rodzinny jednak wiedział lepiej...! Nikt nie jest szczęśliwy (no może z jednym wyjątkiem: kilku ex-żon, które mają nieodparte argumenty „w rękawie” i wiedzą jak i kiedy ich użyć...!)

Najlepiej spuentowała to właśnie moja przyszywana siostra : „Wszystko jest kwestią klasy, stylu, wyczucia i intelektu...” No i jak zwykle miała rację – choć barierą nie do przebycia jest także polska matriarchalna mentalność kulturowa – nie ma róży bez kolców...! Gdybyśmy tak poszli po rozum do głowy i ustalili, by w sprawach orzekających o opiece nad dzieckiem i prawie do jego kształcenia i rozwoju orzekało **dwoje sędziów – mężczyzna i kobieta? By takie decyzje były częściej wyborem Serca, nie tylko Rozumu, Tradycji i Portfela?! Świat się skończy, cywilizacja upadnie?! Nie, może tak przede wszystkim przybędzie więcej szczęśliwych i bardziej wychowanych młodych ludzi, mających lepsze więzi z rodzicami, silniej i optymistycznie patrzących na życie, świat i rówieśników... Uwierzcie mi, piszę to z pozycji bagażu bolesnych doświadczeń, nie zaś jakiegokolwiek filozofii gender czy inszych wynalazków współczesnej socjopsychologii, o które zaraz zostanę posądzona (zasię ten, kto tak pomyśli – trafi kulą w płot!)...**

Pomysł na świetny spektakl

Prostszy niż byście myśleli – choć przy tym bardziej zajmujący i trudniejszy... Łukasz Witt – Michałowski po prostu dobrał pięciu aktorów, których uważnie słuchał, pozwalał grać, mieć pomysły, idee, zajawki... Po prostu on i producentka „Tata ma kota” Monika Stolat zaufali swojej ekipie – niby proste, a dzisiaj już niestety coraz rzadsze na scenach teatralnych... Efekt? Widzowie na przemian wyją, skręcają się i rechoczą ze śmiechu, by za chwilę zamyślić się zbrylantowiwszy sobie oczy łzą samotną... Śmiech miesza się z refleksją, ta czasem z tragikomizmem, by spuentować się gorzką (ale ze wszech miar prawdziwą!) refleksją... Nie wiem kto z tej piątki - Arkadiusz Cyran, Dariusz Jeż, Przemysław Sadowski, Jarosław Tomica czy też Karol Wróblewski – zachwyił bardziej... Na nowo odkryłam naprawdę dawno nie podziwiane pokłady komizmu i montypythonowskiego humoru w Jarosławie Tomicy. Refleksyjny optymizm Dariusza Jeża; lubię podejście do roli tego belmondowskiego wielkoluda, choć dopiero teraz odkryłam jego możliwości. Tupet machismo i smutek rozczarowanego ojca w wersji Przemysława Sadowskiego; fajnie patrzeć na taką miętowo – bazyliową świeżość tekstu podrasowaną lekkim piołuno-pieprzem życia. Pesymistycznie cyniczną gorycz życia Arkadiusza Cyrana i Karola Wróblewskiego podrasowaną lekką tęczą nadziei i wiary – bo pani na M. nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie... Ale tu jest też rodzynek i to nie byle jaki – dziesięć minut Jana Nowickiego jako Autorytetu Od Wszystkiego i Na Każdy Temat! Jak dobrze czasem zdać się na Los, by otrzymać taki prezent jak ta scena - Cacko Cymuś!

No i ten blues – coś w stylu Arthura Crudup – snujący się w tle jak smuga papierosowego dymu, jak wspomnienie po pani M., jak czegoś brak... Daddy Blues to esencja naszej wędrówki, myśli, czynów, uniesień, emocji, uczuć, tęsknot – to my sami...

"Tata ma kota", czyli seksmisja na wspak

Sylwia Hejno

KURIER LUBELSKI

30.03.2015

"Tata ma kota" Szymona Bogacza w reżyserii Łukasza Witt-Michałowskiego bawi przez łyż. Nie ma niczego bardziej zabawnego, niż czyjś tragikomiczny los, na przykład pokonanego w domu i sądzie ojca.

Pięciu facetów rozmawia o życiu, o ojcostwie i o dzieciach, które utracili. Akcja toczy się w piaskownicy, a oni noszą krótkie spodenki i podkolanówki. Nad nimi góruje wyrzeźbiona z piasku Ona, w eleganckim kostiumie, wyzywająco podparta pod boki, milcząca, ale wciąż obecna. Panowie sprowadzeni do parteru, sami stają się jak dzieci. "Tata ma kota" w reż. Łukasza Witt-Michałowskiego portretuje współczesnych mężczyzn pogrążonych w kryzysie - tęsknią za dziećmi, które polskie sądy im odbierają w 96 procentach, tęsknią za kobietami, a jednocześnie kombinują jak zdobyć punkty we wszystkich poziomach gry o wspólne życie, tak jak się kombinuje, żeby tylko zdać klasówkę. reklama Przegrywają i zostają na polu bitwy sami, pokonani, wyczekujący tych dwóch godzin w tygodniu, gdy dziecko zostanie im wydane. Są idealnymi, żalosno-śmiesznymi bohaterami komediodramatu, w którym im jest smutniej, tym zabawniej. W 1936 roku włoski pisarz Virgilio Martini napisał książkę "Świat bez kobiet". W kosmicznie odległych latach dwutysięcznych tajemniczy wirus miał zdziesiątkować wszystkie samice rodzaju ludzkiego zdolne do rozrodu. Mężczyźni zostali zatem na ziemi sami - sytuacja wysoce nieprzyzwoita jak na tamte czasy - i zaczęli się oddawać swoim ulubionym czynnościom, czyli wojnom i rzeziom. Z czasem przyszło jednak niesamowite odkrycie, że wszystko, co wynaleźli, bądź wypracowali w imię postępu ludzkości służyło delektowaniu się towarzystwem kobiet, kobiet, których już nie było. Taka odwrócona seksmisja ma także miejsce w spektaklu. "Widziałem wczoraj kobietę" - wyznaje jeden z aktorów, a na twarzach pozostałych maluje się takie niedowierzanie mieszane z nadzieją, jakby chodziło o Mesjasza, z którego nie nadejściem wszyscy się już pogodzili, ale po cichu liczą na jego przybycie. Spektakl "Tata ma kota" jest głęboko zanurzony w publicystyce, krytykuje polskie orzecznictwo, które w miażdżącej większości pomija ojców przy przyznawaniu praw rodzicielskich, pokazuje absurdalne utrudnienia w kontaktach z dziećmi ("bo dzisiaj ma katarek"), krytykuje wreszcie liczne społeczne obwarowania związane z ojcostwem, od których macierzyństwo jest wolne (przykładowo, tacie nie wolno kąpać się z dzieckiem, mamie tak). Pokazuje depresję ojców, gdy po latach słyszą, że się nie sprawdzili. Lista poruszanych problemów jest długa. Z częścią można się naturalnie nie zgadzać, albo dyskutować ze sposobem ich prezentacji (pewnej "obrony kobiet" podejmuje się w końcowej części Jan Nowicki) . Jednak walorem "Tata ma kota" jest z pewnością to, że poddaje w wątpliwość pewne sprawy uważane za oczywistości, jest także rozpaczliwym głosem tych, którzy nie potrafią się odnaleźć w roli "tatów dochodzących", czują się zwyczajnie i nie po męsku bezradni - jak dzieci, za które są poprzebierani. Śmiejemy się z nieudaczników, frustratów, kombinatorów, pechowców, śmiejemy się bo ich losy są tak absurdalne, że śmieszne. Piątka aktorów Arkadiusz Cyran, Dariusz Jeż, Przemysław Sadowski, Jarosław Tomica i Karol Wróblewski to chór mężczyzn po przejściach, ojców tragikomicznych i zrozpaczonych. Prawdziwych facetów XXI wieku. "Tata ma kota" (albo "Poczytaj mi Tato"), reż. Łukasz Witt-Michałowski, scenariusz Szymon Bogacz, premiera 27 marca 2015r.

"Tata ma kota". Świat z perspektywy chłopca.

Agnieszka Mazuś

DZIENNIK WSCHODNI

30.03.2015

Zaczyna się jak bajka (Dawno, dawno temu...). Kończy smutno i refleksyjnie. Cały spektakl jest taki. Zabawny, dowcipny, ale zarazem poważny, mądry, momentami wzruszający. Bo temat, który reżyser wziął na warsztat, wcale nie jest łatwy i miły.

Na scenie czterech facetów w krótkich niebieskich gaciach. Piaskownica, plastikowe grabki, wiaderka i górujący nad tym wszystkim posąg Matki.

Ale jak to w teatrze, wcale nie jest tak, jak nam się wydaje. Piaskownica to ring, sala sądowa, miejsce egzekucji. To co góruje nad scenę to nie żadna rzeźba z piasku, a religijny obiekt kultu. Damska torebka okazuje się kaftanem bezpieczeństwa, a czerwone plastikowe wiaderko pojemnikiem na spermę. A życie? Życie to gra.

Gracz (ojciec) zalicza kolejne level: zdobyć (kobietę), zrobić (dziecko), zdążyć (na poród). Im dalej tym trudniej. Jedni wykładają się już na wychowaniu, inni level dalej - na rozstaniu. A potem jest "level nie do przejścia" czyli sąd. Tu wykładają się nawet ci, co "etap sądów przechodzili wielokrotnie".

Tekst sztuki Szymona Bogacza to zbiór monologów. Zabawnych, ale zarazem tragicznych historii opowiedzianych dowcipnie i z dystansem. Tempo w jakim teatr Witta Michałowskiego je opowiada jest oszałamiające.

Jesteśmy w kościele, na terapii, w domu, w sądzie, w środku telewizyjnego show. Typ w krótkich spodenkach raz jest gangsterem, raz dzieckiem. A widz śmieje się do rozpuku i wzrusza na przemian. Lubelscy aktorzy (Jeż, Tomica) po raz kolejny pokazali, że talentem komediowym ani na krok nie ustępują znanym warszawskim nazwiskom (Sadowski, Nowicki).

I reżyser, i aktorzy, prywatnie są ojcami. Te historie są im bliskie, nawet jeśli nie z autopsji, to z racji męskiej solidarności. To kobiety "sprowadzają wojny i ciężę" – mężczyźni chcą tylko kochać. Pod warunkiem, że swoje i na własnych zasadach. Ale świat (czyt. sąd) tego nie rozumie. I to babom przyznaje prawo do wychowywania dzieci.

Co pozostaje ojcom? Wylewać żale ("bo miłość zawsze zbyt wylewna, zabawa nieeducacyjna, a alimenty zawsze za małe"). Jak mówi głosem Wielkiego Szu w jednej z ostatnich scen Autorytet od Wszystkiego: Panowie, z brzuchem nie wygracie!

Przy takim temacie łatwo można było popłynąć i zabić widza moralizatorstwem. Tak się nie stało, za co wielki układ w stronę reżysera. I aktorów, którzy na próbach do spektaklu, dorzucali własne pomysły. Tak, tak drogie panie. Tak właśnie widzą świat mężczyźni, którym nigdy nie będzie dane dorosnąć...

Jak zostać ojcem

Katarzyna Łupińska

INTERNETOWY MAGAZYN „TEATRALIA”, NR 144/2015

10 lipca 2015

Pewna poczytna pisarka podczas wizyty w Szwecji omal nie padła z wrażenia na widok tabunów ojców wzorowo spacerujących z dziećmi w wózkach. Oglądając najnowszy spektakl Łukasza Witt-Michałowskiego, można dojść do wniosku, że taki bajeczny scenariusz to jedynie wymysł wyobraźni, a w rzeczywistości ojciec jest jedynie dawcą plemników, który na dalszych etapach rozwoju dziecka przestaje być potrzebny. Chociaż chciałby.

Tata ma kota (albo Poczytaj mi tato) to spektakl, który w dość przewrotny sposób podejmuje problematykę praw ojców. Ironiczny wymiar nadaje sztuce przede wszystkim osadzenie akcji w piaskownicy. Bohaterami są wiecznie niedorośli chłopcy w krótkich niebieskich spodenkach na szelkach i białych podkolanówkach, z plastikowymi wiaderkami i łopatkami w dłoniach, a nad wszystkim króluje Wielka Matka. Majestatyczny posąg Matki Polki dominuje nad męskim światkiem i zdaje się rzucać cień na marzenia i plany dużych chłopaków.

Właściwie to w pewnym stopniu sami są sobie winni. Nie potrafią spełniać wymagań i warunków kontaktu z dziećmi, narzuconych im przez sąd. Nie potrafią wydostać się z mentalnej piaskownicy, wciąż traktując życie i relacje jako grę – każdy etap w życiu i w związku to kolejny poziom: oświadczyzny, ślub, poród (grunt to zdążyć na czas), rozstanie, przekonywanie sądu do swoich racji itd. Każda porażka, sygnalizowana charakterystycznym dźwiękiem, oddala ich od wygranej, ale co z tego, skoro można wszystko zresetować i zacząć grę od początku.

Sztuka Szymona Bogacza to mozaika opowieści – każdy z bohaterów wyciąga je jak asy z rękawa, próbując wzruszyć, zaskoczyć, wzbudzić litość, podziw albo zazdrość innych. Jest zatem historia gangstera i jego „zwyczajnego” życia rodzinnego; jest historia ojca, który z powodu porannej erekcji i wścibskiego sąsiada stracił prawo do kontaktu z synem; jest relacja z sali sądowej i streszczenie przelotnego spotkania z kobietą – gatunkiem tajemniczym i dawno nie widzianym.

Obok wielości treści jest też wielość form: gra komputerowa, piosenka, teleturniej, parodie przemówień wodzów, rozprawa sądowa, szkolenie, spotkanie i tak dalej. Momentami wydaje się to nieco przytłaczające, zbyt popisowe, jakby reżyser chciał pokazać cały arsenał środków, wszystko, co potrafi – w tym jednym spektaklu. Taka konstrukcja sprawia wrażenie śmietniska form, ale z drugiej strony to panopticum jest swoistym odzwierciedleniem tego, co dzieje się ze światem ojca po stracie kontaktu z dzieckiem, po rozpadzie relacji rodzinnych i utracie praw ojcowskich.

Zróżnicowana forma niesie ze sobą konieczność aktorskiej sprawności. A tego aktorom Sceny InVitro nie można odmówić. Cała piątka doskonale odnajduje się w kalejdoskopowej konwencji, wymagającej maksymalnej koncentracji na zmianach tożsamości i sytuacji. Choć stroje ujednolicają postacie, czynią każdego jednym z wielu, nadają anonimowość, która pozostawia wyłącznie stereotypy, to jednak każdy z ojców ma swój charakter i swoją historię, każda postać jest dość wyrazista i starannie wykreowana. Całości dopełnia monolog Jana Nowickiego, który wzmacnia cyniczno-humorystyczny wymiar spektaklu i ujmuje wszystko w autoironiczny nawias.

Wieńcząca spektakl historia o Fredzie, opowiadana przez jego Uczucia przy dźwiękach małych katarynek, nie pozostawia nadziei na happy-end. Nie pozostawia też miejsca na morał i moralizatorstwo, do końca operując ironią i pokręconym humorem, który bezlitośnie rozprawia się ze zwykłym wzruszeniem i daje do zrozumienia, że o tym, co istotne, można mówić tylko przez pryzmat żartu. A Witt-Michałowski udowadnia – nie po raz pierwszy zresztą – że w jego teatrze poważne tematy świetnie sobie radzą bez nadętego patosu.

Kontakt:

Monika Stolat

M: +48 519 122 799

E: scenainvitro@gmail.com

www.scenainvitro.eu

facebook.com/scenaprapremierinvitro